Nr. 20. 1891 r. Wydawnictwa Rok XIV.

GONIEC i ISKRA

Dziennik dla wszystkich, illustrowany.

Lwów, dnia 10. Lipca — 1891 r.

Szkice Kąpielowe.



— Czego się panna za mną tak włóczysz?..
— A bo tak gorąco, a od pani idzie duży cień — to ja w niem się kryję...



— O mój wybawco! wyratowałeś mnie — byłabym utonęła!.. Jestem sama, oddaję ci się cała — weź mnie za żonę!..
— Ależ ja jestem już żonaty!..
— No to może masz brata, wuja, ojca — poświęcę się dla któregokolwiek z twych krewnych przez wdzięczność dla ciebie!..



— Nie pryskaj wodą, bo jak ci prysnę, to ci się gorąco zrobi!..
— To będzie dobrze, bo ta woda zimna, aż mi w nosie zamarza...

Ze szkiców humorystycznych

Franciszka Kostrzewskiego.



Od Ekspedycji.

Dołącza się osobny dodatek.


WINT
NIE GRAM PANIE W WINTA!
NO TAK I CÓŻ PAN BĘDZIESZ ROBIŁ W WARSZAWIE?
CO TO? — NIC, GRAM SOBIE W WINTA Z TRZEMA DZIADAMI.
WPAKOWAŁ ICH BEZ PIĘCIU!
PANIE ONUFRY, CZEKAMY NA OSTATNIE SŁOWO!
WPADŁ NA SZLEMA BEZ TRZECH!
JUŻ ÓSMA JESZCZE ICH NIEMA
PRĘDZEJ DUSZKO
PRĘDZEJ, SZKODA CZASU
NIEDŁUGO DNIEĆ BĘDZIE A JEGO NIE WIDAĆ. ACH TEN WINT!

Na rozum.



— I czego ty beczysz — czego?..
— Serce mi się kraje... Zdradzasz mnie, rodo, nego męża...
— Najprzód, niemà rodzonych mężów, tyl, ko zawsze przybrani, a powtóre, skoro ci z tem dobrze, powinieneś wziąść na rozum...
— Dobrze — ja biorę na rozum — więc skoroś mnie przybrała, po co jeszcze przybierasz drugich...

Przypomnienie.



— Cóż tak się przypatrujesz tej śwince?..
— Bo przypomina Edwarda...
— Cóż znowu?!..
— Widzisz, jak ma ogonek skręcony ślicznie w E.



— Bój się pan Boga — zaczepiłeś mi pan wędkę za ucho — ajaj!...
— Przepraszam — ale mi się raz udało złowić grubą rybę, która połyka inne ryby...

Niby grzyby, a nie grzyby.



— To dziwne, jakie to wielkie grzyby rosną na tej górze.



— Ależ to nie grzyby — to nasze panie siedzą z parasolkami...

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo F. K. Kowaliszyn. Odbito w Litografji A. Przyszlaka, we Lwowie.

Dodatek do Nru 20. „Gońca i Iskry".

Lwów, dnia 17. Lipca 1891 r.

Od Administracji.

Prosimy szanownych naszych abonentów o łaskawe odnowienie bieżącej i wyrównanie zalegającej prenumeraty. Wszelkie rachunki zaległe, są dla wydawnictwa uciążliwe Panów prenumeratorów zamieszkałych w Ameryce prosimy również pamiętać o tem, zwłaszcza, że przeprowadzanie z nimi osobnej korespondencji o zaległą prenumeratę, naraża administrację na niepotrzebną stratę czasu i koszta...

Od ręki.

= Z Brzeżan.
Odbył się tu dwukrotny koncert seniora artystów i śpiewaków naszych: Mieczysława Kaminskiego. Był to szereg owacyj zasłużonemu w dziedzinie sztuki mężowi. Dziwny, nie bywały urok sprawia śpiew mężczyzny, szósty już krzyżyk dźwigającego na swym grzbiecie, a promieniejącego taką werwą najczystszej deklamacji i młodzieńczych tonów. Cała inteligencja i śmietanka towarzystwa zebrała się więc na powitanie jedynego syna nieodżałowanej pamięci Jana Nepomucena.

Marszałkowie powiatu: Jędrzejowicz i Wolski, starosta Kolarzowski z całą rodziną, kanonik i proboszcz -Solecki, prezydent i radcy sądowi, mecenas Leon Madejski z żoną, państwo Turscy, Szechlowie, Borzęccy, Orzelscy, Wiśniewscy, Paolo, Maravglia, baron de Baillon, majorowstwo Padlewscy i inni. Akompaniament objął starszy radca sądu dr. H... który perłując na fortepianie tematy rozmaite stanął na wyżynie artystycznej. W koncercie deklamamował również młody Adolf Bolek, który znaczne robi postępy, nabierając dźwięku dobrej i płynnej wymowy, oraz giętkości estradowej. Wiele poematów dodać musiał nad program.

= Most przez morze.
Dzienniki szwedzkie zapewniają, iż inżynier sztokholmski Lilliekwist wypracował plany połączenia koleją żelazną miast Helsineborg i Elsner, z których jedno znajduje się na szwedzkim, a drugie na duńskim brzegu morza. Kolej ma iść w sztucznym tunelu żelaznym, opuszczonym do pewnej głębokości w wodę. Most tunelowy składać się będzie z rur żelaznych, objętych z zewnątrz obręczami stalowemi, przyczem wszelkie spojenia i szpary mają być zalewane betonem. Długość olbrzymiego mostu według projektu Lilliekwista wynosić powinna cztery kilometry. Koszta budowy nie przeniosą podobno 15-tu do 20 tu miljonów marek.

Demokracja i djamenty.

W imię równości, w imię dobrego smaku, pan Grant Allen, znany pisarz angielski, skazuje djament na potępienie wieczne w energicznym artykule powyższym zaopatrzonym tytułem, a umieszczonym w majowym zeszycie angielskiej *„Contemporary Review"*.

Czytelniczki nasze, które mają upodobanie w tym drogim kamieniu i z takim wdziękiem noszą w solenniejszych okolicznościach precjoza zdobne brylantami, nie bez pewnej zgrozy dowiedzą się, że według pana Allen, „kto kupuje djament, popełnia zbrodnię przeciw ludzkości".

Pan Grant Allen nie żartuje bynajmniej, mówiąc to. Nienawiść jego do djamentu jest gorąca, namiętna i szczera. Zapewnia on oraz, że bierze tym razem pióro do ręki w tym celu jedynie, aby ludzkie społeczeństwo ocalić od zguby z tej strony mu grożącej, skąd djamenty leżą..

„Człowiek prawdziwie, szczerze liberalny, nie może posiadać brylantów" — woła. — Mniejsza o to, powie sobie w duchu ten, kto ma brylanty; jeżeli tylko to mi grozi, że mię za szczerego liberała mieć nie będą, zaraz pójdę dokupić brylantów mojej żonie i sobie. I owszem, nosić będę tak dobrze sygnet z dużym brylantem, jak kommunary noszą nieśmiertelniki krwawe i żadnego skrupułu mieć nie będę.

Przeciwnie, zagorzały liberał zaprzestanie nosić szpilki brylantowe; schowa je głęboko w szufladzie, a jeżeli jest skrupulatniejszy i w myśl pana Allen nie ma *posiadać* brylantów, to odda je komu, nie chcąc ich sprzedać (byłby to bowiem pieniądz niegodnie zdobyty) albo je .. zastawi. To ostatnie może nawet najlepsze będzie, pomimo, że p. Allen tej „okrutnej" rady nie daje.

Motywy skłaniające pana Grant Allen do wyklęcia djamentu, są dwojakie: jedne są estetyczne, drugie są moralnego porządku.

„Pod względem artystycznym, djament jest czemś ordynarnem, pospolitem, — mówi p. Allen. To jest niezaprzeczone. Djament należy do tej samej kategorji, co wszelkie krajane szkliwa, kryształy, żyrandole, zwierciadła salonowe, meble w stylu Luis XV., jednem słowem wszelkiego rodzaju świecidełka. To nie jest kwestja przekonań, to jest fakt. Djament jest pospolity: niktby go nie chciał nosić, gdyby kosztował tyle, co szkło czeskie. Najlepszy dowód w tem mamy, że wszyscy wzdragają się stroić w imitacje djamentu, nawet takie, których wprawny znawca od prawdziwych kamieni nie odróżnia.

„Nie noszą więc imitacyj, choć prawdziwe djamenty nie są od nich ani czystsze, ani efektowniejsze. Wyobrażają sobie tylko, że są takimi, bo kosztują drożej, a w gruncie rzeczy, na sto osób, dla 99 wszystko jedno, czy mają przed sobą djament prawdziwy, czy naśladowany. Dla każdego zaś człowieka, naprawdę wykształconego, naprawdę cywilizowanego i jedno i drugie warte cztery grosze".

Pod względem moralnym noszenie brylantów jest okrucieństwem. Wyobraźcie sobie człowieka, posiadającego 50.000 franków, — powiada p. Allen, — który za tę sumę wyprawia kilku ludzi do Afryki południowej, aby mu wyszukali odpowiedniej wartości djament. Powiecie, że to jest warjat, a obejrzawszy ów djament, powiecie, że zbyt wiele zaprawdę trudu i zachodu, i zbyt wiele wydatku dla tak szczupłego rezultatu.

„To też zdaniem mojem, — mówi dalej, — zarówno pod względem estetycznym, jak i ekonomicznym, kult djamentu jest objawem barbarzyńskim.

„Postęp cywilizacji polega na tem, aby wszędzie doskonałość pracy artystycznej rugowała wartość materjału. Szkło, porcelana, fajans, żelazo kute, nikiel, papier itd. zastąpiły w świecie dzisiejszym materjały rzadsze i droższe. Dawniej ekspensowano dużo czasu na wyszukiwanie pięknych produktów przyrody; dzisiaj ten sam czas lepiej zostaje użyty na urobienie najprostszych materjałów i wytworzenie z nich siłą zręczności i dobrego smaku dzieł celujących pięknością i wartością. W czasach dzisiejszych wyrabiają się z prostej gliny rzeczy daleko piękniejsze, aniżeli te, do których dawniej potrzebowano jaspisu i chryzolitu.

Ta rewolucja dobrego smaku jest oddźwiękiem jedynie tego, co dzieje się w życiu całego społeczeństwa ludzkiego. Ewolucja artystyczna idzie współrzędnie z socjalną ewolucją, która prowadzi człowieka od niewoli do wolności. Upodobanie w djamentach, w srebrach, w bogatych materjałach — to atrybut żądzy panowania, dominacji, to właściwość tych, którzy niewolników mają. Miłość prostoty artystycznie pięknej, której wartość nie zależy od ceny materjału, ale od inteligentnej pracy, która ją wytworzyła, przystoi duchowi wolności, jego też jest atrybutem. Pierwsza kategorja jest barbarzyńska, druga — cywilizowana; pierwsza jest samolubna i monopolizująca, druga — altruistycznie dobroczynna".

Zostawić, naturalnie, wypada ten pogląd, jak i inne zresztą na odpowiedzialność p. Allen. Z trudnością, bowiem, zrozumieć przychodzi dlaczego miłość prostoty artystycznie pięknej, ma przystoić „duchowi wolności", którego zresztą nigdzie we właściwem pojęciu nie widzimy. Są jednak w poglądach tych niektóre spostrzeżenia jasne i zdrowe, choć autor, plącze z sobą niepotrzebnie niektóre objawy, czyniąc współczesne jedynie, lub współrzędne zależnemi od siebie.

„Upodobania klas wyższych, — mówi jeszcze, — są bardzo często wręcz barbarzyńskie. Do takich zaliczam upodobanie w rzeczach kosztownych, jaskrawych, a zbytecznych, które cechuje stanowczo ludzi, należących do kultury niższej, pierwotnej. Bogate dziedziczki kalifornijskie po dzień dzisiejszy stroją się od rana do wieczora w djamenty i podobne są w tej mierze do książąt indyjskich, do peruwiańskich inkasów, do czerwonoskórych, lub islandczyków, obwieszających się muszlami.

„Jest też rzeczą godną uwagi, że lubowanie się w koronach i herbach, w haftach złocistych i srebrnych zastawach, w kości słoniowej, tygrysich skórach perłowej massie i szyldkretach, jest bezpośrednim wypływem i następstwem miłości, jaką ma dziki człowiek do szklannych pereł i świecideł. Jest to specjalne dziedzictwo po najbarbarzyńkiej kaście, jaka się po dzień dzisiejszy została, a poczytując się za kastę królewską i szlachetną nie pracuje, nie posiadła żadnej zdobyczy cywilizacyjnej, trudni się polowaniem i rybołóstwem, jak najpierwotniejsze pokolenia i sztukę zabijania poczytuje za najchlubniejsze swe posłannictwo.

„Oddźwięk tego widzimy jeszcze w sferach wyższych naszego społeczeństwa. Szlachta, lub ci co do niej się zaliczaja, radaby stroić się jak Salamon w pełni swej chwały. U dworu kobiety ścielą swe toalety piórami strusiemi, perłami i dyjamentami; mężczyźni przywdziewają ubiory strojne, o ile możności szkarłatne i złotem obsypane, a nawet „cywilni“ przypasują szpady, będące wizerunkiem wojowniczej działalności ich przodków.

„Tak jest, precjoza, pióra, drogie kruszce i kamienie to spuścizna przekazana przez rasy pierwotne, a upodobanie w nich cechuje dziś ludzi niższej pod względem cywilizacyjnym kategorji“.

Na tem konkluduje pan Grand Allen.

Teatr.

Jedną ze słabszych komedyj Scribe'go: *Sukcesorka* w 1 akcie grano u nas po raz pierwszy w zeszłym tygodniu. Rzecz błaha, rozwałkowana, mimo gry dobrej pani Kwiecińskiej i p. Feldmana, nie zrobiła żadnego wrażenia.

Dawno napisana przez Bałuckiego drobnostka sceniczna, zatytułowana *Kuzynek*, dowcipna, żywa i pełna ruchu, dopiero teraz doczekała się u nas przedstawienia Dobrze i bardzo starannie odegrali tę komedyjkę panna Praun i p. Trapszo, którym dopomagał pan Walewski.

Wakacje małżeńskie, farsa francuska Henneqin'a i spółki, przetłómaczona dobrym i poprawnym językiem polskim przez p. M. Sachorowskiego, jest wesołym utworem, w którym autorowie wyzyskali w sposób dość zabawny, choć wcale nieoryginalny, namiętnostki do kobiet — szkoda tylko, że wiele figur kręcących się po scenie, nie zostały w farsie zużytkowane, jak się należy i w trzech nie bardzo długich aktach, za wiele jest epizodów. Trzy najgłówniejsze role męskie spoczywały w rękach pp. Kwiecińskiego, Feldmana i Zboińskiego i. naturalnie, odegrane zostały doskonale pomimo, że p. Kwieciński miał ogromną chrypkę, i widocznie był cierpiący tak, że wystąpienie artysty było ofiarą ze zdrowia na korzyść dyrekcji. Role mniejsze bardzo starannie grali pp. Trapszo, Dębicki i Piasecki. Panie, w ogóle, w tej farsie, nie wiele miały do roboty. Pani Kwiecińska była młodą, ładną mężatką i na tem się też wszystko kończy, bo grać nie ma co; pani German grała „przeciętną“ teściowę bardzo blado przez autorów naszkicowaną; panna Sznage amerykankę „sprzedającą się“, jak przyjaciel z prefektury w farsie powiada, grała powabnie — i nakoniec przyjemną hotelistką, czy numerową, była panna Czechowicz.

Dwie komedyjki z francuskiego tłomaczone Augier'a: *Post-scriptum* i Labiche'a: *Raptus*, należą do lepszych i zręczniejszych jednoaktówek, szczególniej też ostatnia żywością akcji i komizmem, utrzymuje rozbawioną publiczność w nader wesołem usposobieniu.

Post-scriptum odegrali pani Stachowicz i p. Zawadzki bardzo starannie. W *Raptusie*, choć to tylko w jednym akcie zamigotała pani Kwiecińska swoim talentem, jak ogniem od prawdziwego brylantu... Naiwna to z łaski bożej — doprawdy... Dobrym poczciwcem był p Feldman, a starego kawalera, postać charakterystyczną grał p. Milewski z istotnym talentem, rozwijającym się i nabierającym siły i pewności siebie. Tytułową rolę grał p. Walewski — zdaniem, jednak, naszem, wszelkie raptusy nie dla talentu p. Walewskiego.

Nasze żony, 5-aktowa komedja Mosera i Schönthana bardzo dobrze przetłomaczona z niemieckiego na język polski przez p. M. Sachorowskiego, przedstawiona u nas została po raz pierwszy w ubiegłą środę. Komedja ta należy, bez wątpienia, do lepszych z ostatnich czasów niemieckich komedyj i zalecą się nietylko dość zręcznym pomysłem, ale humorem i żywością — zaletami rzadkiemi u niemieckich komedjopisarzy. Prawdziwa, chociaż jaskrawa charakterystyka postaci, z wyjątkiem trzech: Hilberga, Corneliusa i Grossera, jakby niedokończonych — rzuca się przedewszystkiem w oczy. Dobrych scen sytuacyjnych w komedji jest wiele, a kilka ślicznych, jak np. z kosztownościami żon i z ofiarowaniem znacznych pieniędzy przez teściowę i teścia w tajemnicy jedno przed drugiem.

Nie jesteśmy skłonni z natury do pisania komplementów — więc mówimy prawdę, że komedja, w ogóle, odegrana została doskonale, a żywy jej koloryt, ruchliwość i życie, ujawniło się w całej pełni w grze artystów. Z wyjątkiem, jak wyżej powiedzieliśmy, Hilberga, Corneliusa i Grossera, postaci nie wykończonych przez autorów i rysowanych na szaro, z których szczególniej z pierwszego nawet p. Chmieliński swoim niezwykłym talentem, mimo pewnego podkładu serjo dramatycznego, nic nie mógł zrobić z tej prostej przyczyny, że z piasku się bicza nie skręci i bardzo starannej gry p. Milewskiego w roli budowniczego Corneliusa — wszystkie inne występujące postacie dawały, rzeczywiście, pole do popisu. Więc też z wdziękiem, finezją artystyczną i urokiem młodości odegrały panie: Kwiecińska i Czaplińska dwie młode zakochane panienki; sympatyczną bardzo i powabną mężateczką była panna Praun, w której grze uwydatniła się słodycz i miękkość zacnej kobiety; drugą rezolutną i wyzywającą mężatką była panna Sznage. Palmę, jednak pierwszeństwa w roli charakterystycznej świekry, od dać należy pani Gostyńskiej — krótko mówiąc, grała znakomicie.

Panowie Zboiński, Feldman i Trapszo w głównych rolach, niemal w każdej scenie wywoływali żywe oklaski zadowolenia — grali też doskonale.

Role mniejsze szły gładko i dostrajały się do ogólnej, a pełnej ruchu i życia, harmonji.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117